PRAWDA

Pismo tygodniowe. *Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.*

Rok XXXIV Nr. 32. *Warszawa, 5 grudnia 1914.* Nowy-Świat 15.

W. RZYMOWSKI.

Po czterech miesiącach.

1.

Cztery miesiące upłynęło...

Pola Europy, od brzegów Mozy po Wisłę, zasłane są trupami. Kilka miast o historycznych nazwach legło w gruzach. Kilka miast przeszło z ręki do ręki.

Lecz wyniki?

Wyników dotąd niema prawie żadnych. Żadna armja nie przerąbała sobie drogi wyraźnej do zwycięstwa. Niemców dzieli równie beznadziejna odległość od Paryża, jak Francję i jej przyjaciół — od Berlina. Na froncie zachodnim potworna studniowa bitwa skamieniała w śmiertelnej równowadze, świadczącej, że obie armje stanęły u kresu wysilenia. Na froncie wschodnim, dotykającym Wisły i Warty, toczy się żywsza gra wojenna, ale i tutaj sytuacja nie jest wyraźna, skoro główny zarząd sztabu rosyjskiego sam z imponującą szczerością przestrzega ogół przed pogłoskami o zbytnich rozmiarach zwycięstw nad Niemcami[1]).

Stępiono ostrze niemieckiego impetu; ale nie wyparto go z pola ofensywy, ani na tym froncie, ani na tamtym. Niemcy ciągle jeszcze, z małymi wyjątkami, toczą wojnę na karkach swoich nieprzyjaciół, dzięki temu, nawet wówczas, gdy bywają bici przez nich, wgryzają się w ich ciało.

Walka tedy, z obu stron, utknęła na martwych punktach: po czterech miesiącach stoi znów u swego progu. Każdy z zapaśników posiada dość sił, by wroga obezwładnić; nie staje mu sił na to, by go złamać.

2.

I ta sama, co w pierwszych dniach Sierpnia, panuje dotąd przewaga bezwzględna strategji nad polityką.

Armaty mówią: poza nimi wszystko milczy. Milczy etyka i ekonomika; milczą idee społeczne i narodowościowe.

Nie znaczy to, aby którekolwiek państwo deptało ideały kultury. Przeciwnie: nigdy kultura nie miała tylu wiernych, oddanych sobie bojowników. Anglja zapewnia, że walczy o cywilizację. Francja przysięga, że krew przelewa za wolność. Rosja oświadcza, że bije się o wyzwolenie Słowiańszczyzny. A Niemcy? Czyżby one jedne były wyrodkiem cywilizacji? Nie. One też klną się, że walczą w interesie rozwoju świata.

Gdy więc każdy naród porywczo ciągnie w swoją stronę płaszcz cywilizacji, by choć skrawkiem jego członki swe przyodziać, cóż dziwnego, że płaszcz ów, nie wytrzymując parcia, pęka tu i owdzie, ukazując w wielu naraz miejscach... nagie żelazo?

3.

Sprawa polska śpi wciąż, nie podjęta na gruncie Królestwa przez nikogo. Świat milczy o niej i ona sama milczy o sobie.

Naczelny Wódz armji rosyjskiej wydał do Polaków odezwę. Ale co wydali z siebie Polacy w kierunku organizowania siły narodowej.

[1]) P. komunikat urzędowy z d. 28 Listopada.

Rozchwytali odezwę między siebie na szkaplerze zbawienia i — zasnęli snem tryumfalnym, pewni że ich obudzi delegacja z Poznania.

4.

Jako jedyny owoc czteromiesięcznych wysiłków organizacyjnych polityki polskiej w Królestwie, wskazać można chyba tylko... świeży endecko-ugodowy preparat, nazwaay «Polskim Komitetem Narodowym». Złożony z kilkunastu wyranżerowanych endeków, z kilku zahukanych przez endecję realistów, podlany gęstym sosem tytułów arystokratycznych, «Komitet» ów nie byłby przydatny do niczego nawet wówczas, gdyby poprzestał, za wskazaniem prasy, na reprezentowaniu żywiołów ugodowych. Jak widać z jego nazwy oraz z odezwy, którą się społeczeństwu oznajmił, «Komitet» rości prawo do reprezentowania całego narodu i przez to przynieść może narodowi nieobliczalne szkody. Ale nawet wówczas, gdyby utrzymał się w skromniejszych granicach i nie żywił uzurpatorskich dążności do wyrażania całokształtu polityki narodowej, nawet wówczas, gdyby się uznał «w granicach swego jestestwa», przestając być szkodliwym, nie stałby się pożyteczny.

Polityka ugodowa jest postacią polityki najlichszą; wszelako i ona, by mogła być owocna, mieć musi pewną ideę. Tymczasem «Komitet Narodowy» doszczętnie jest z wszelkiej idei politycznej wyzuty. Osoby, podpisane pod odezwą «Komitetu», poza tytułami, nie reprezentują nic, prócz długiego szeregu kompromitacji. Idea, którą piastowały, już w przededniu wojny uległa kompletnemu rozbiciu. Szczątki Koła Polskiego, które podpisały się pod odezwą, są żywym przypomnieniem tych opłakanych szczątków, na jakie rozbiła się uprawiana przez nie długoletnia polityka w Dumie. Jeśli czepianie się fałd biurokracji nie przyniosło nam nic dobrego podczas pokoju, to podczas wichury wojennej tym mniej dobrego przynieść nam może. Nożyce, które wycięły język polski z samorządu, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, głęboko zastanowią się przedtym, nim z serca Europy wykroją kształt zjednoczonej Polski.

5.

W kraju jest miejsce na partję ugodową, ale pod warunkiem współrzędnego obok niej istnienia silnej partji opozycyjnej; przytym — na partję ugodową w wielkim stylu, do jakiego endecja organicznie jest niezdolna. Na endecji ciąży piętno pochodzenia: p i ę t n o d r o b n o m i e s z c z a ń s k i e g o k o j c a, z którego wyszła ona pierwotnie. Z piętnem takim we krwi i w mózgu mogłaby ona z niewątpliwym pracować dla kraju powodzeniem na przeróżnych polach; ale pod żadnym warunkiem nie powinna brać się do polityki ugodowej, która wymaga magnackiego gestu i wielkopańskiej obłudy. Aleksander Wielopolski, gdy dla kraju wyjednywał reformy i ustępstwa, nie przestawał rządu upewniać o swoim niezachwianym dlań posłuszeństwie, ale jednocześnie budził przeświadczenie, że jest to posłuszeństwo lwa. Tymczasem dzisiejsza ugoda endecka wszelkich wobec biurokracji używa zabiegów, by dowieść, że jej posłuszeństwo jest zapałem posłusznego cielęcia.

Nic niema niedorzeczniejszego, niż szczerość i chamska w ugodzie prostota; skutków praktycznych nie daje żadnych, natomiast dla obu stron powoduje straty moralne: w jednej budzi niesmak, w drugiej upokorzenie.

6.

«Komitet Narodowy», niby czwarte w Europie mocarstwo, przystąpił do koalicji. Cóż jej chce ofiarować? Cóż ofiarować może Rosji takiego, coby u niej znalazło posłuch i obudziło wzajemność?

Nie może ofiarować jej ani pieniędzy, ani oręża; żadnej z tych dwu rzeczy, jedynie mających wagę podczas wojny, dać nie może.

Cóż więc na ołtarzu koalicji złoży? Radość swoją z powodu zdobycia Lwowa i podboju Galicji Wschodniej?...

Lecz takiej ofiary chyba żaden Rosjanin uczciwy od nas nie przyjmie. Podobnież, jak— naodwrót — żaden Polak uczciwy i rozumny nie będzie sprowadzał przyszłych zdobyczy politycznych czy terytorjalnych do nagrody za powinszowania, składane zwycięzcom, lub w ich stronę posyłane wróżby pomyślności i kwiaty nadziei.

7.

Lecz co się dzieje w społeczeństwie poza «Komitetem Narodowym», o którym wiadomo, że wyraża drobną w narodzie mniejszość? Rosja, która wcale nie liczy się z «Komitetem», tym samym składa dowód, że pragnęłaby liczyć się z reprezentacją opozycji wobec «Komitetu». Tym bardziej interesowałaby się nią Europa Zachodnia. Opozycja ta niewątpliwie istnieje, lecz dotychczas napróżno szuka dla się wyrazu w organie kierowniczym. Prasa warszawska wypowiedziała życzenie, iż obok «Komitetu Narodowego», który jest w istocie komitetem konserwatywnym, powinien powstać «Komitet Demokratyczny», jednoczący liczne inne ugrupowania polityczne. Do ostatniej chwili jednakże «Komitet Demokratyczny» pozostaje tylko dezyderatem. Opozycja nie może o sobie rzec: *Cogito ergo sum*, gdyż aczkolwiek istnieje, to jednak zbiorowo nie myśli. A gdy nawet myśl wspólną poweźmie, to nie potrafi jej uzewnętrznić w czynie politycznym. Istniejące zrazu «orjentacje» rozpłynęły się w bezpłodzie. W ciągu czterech miesięcy ani jedna nuta nie zagrała mocniej w sercu Polski; ani jeden z jej piersi nie dobył się krzyk protestu, oburzenia, wiary, zapału lub gniewu... Najgłośniej, najbardziej gromowymi słowy wzywano się nawzajem tylko do... spokoju i ciszy.

8.

Czyżby pierś Polski była pusta? Czyżby, może, wojna nas zdradziła?

Przed czterema miesiącami, na wieść o rozpoczęciu działań wojennych, wznieśliśmy pierwsi z łamów *Prawdy* okrzyk: niech żyje wojna!

Czyżbyśmy teraz zmuszeni byli go cofnąć?

Nie. Niech żyje wojna! — raz jeszcze powtórzymy, wobec miljona ofiar, które już pochłonęła śmierć, jak niezawodnie kiedyś na grobach naszych przyszłość zawoła i powtórzy: niech żyje pamięć tej wojny!

Jakiekolwiek dalsze będą losy bitew, przełamany został już mur cmentarny, który nas okalał.

Ludzkość na całej linji boju cofnęła się w obręb barbarzyństwa; ale jest to cofanie się fali, która potrzebuje miejsca dla rozpędu.

Ta fala rozpędzona powinna społeczeństwo nasze znaleść już w pełni przygotowania i w dojrzałości postanowienia.

Tymczasem jeszcze wojną kierują siły, które straż trzymały u naszego grobu. Powszechny atoli na polach walki zastój w chwili obecnej jest poszlaką rychłego tych sił wyczerpania. Wojna, później lub wcześniej, zmuszona będzie odwołać się do sił, leżących na drodze naszego odrodzenia.

Wobec wybuchłej wojny Pius X, trzeci więzień Watykanu, umiał tylko umrzeć. Ta śmierć cicha i prawie, śród łoskotu zdarzeń, niepostrzeżona była jedyną odpowiedzią Kościoła na kataklizm europejski. W stosunku do wielkich przemian świata wyraziła ona bezradność papiestwa, które nie miało dość sił, by wojnie zapobiec, nie miało dość powagi, by ją przekląć, nie miało dość zrozumienia, by ją usprawiedliwić. Idea Ojczyzny wzniosła się ponad Chrystusa. Narody wzniosły się ponad powszechność katolicką. Ludzie przenoszą śmierć ponad życie, które nie jest życiem według ich myśli; dają świadectwo miłości ku doczesnemu światu; stwierdzają chwałę tego świata. Każdy poległy na pobojowisku żołnierz jest zaprzeczeniem wiary w niebo; każdy zgonem swym wyznaje że jedyną nieśmiertelnością, dla człowieka dostępną, jest nieśmiertelność na ziemi.

Nieprawdą jest, iż tylko Niemcy znają karność. Niemcy znają „pewną“ karność. Każdy naród zna i uprawia swoją karność. Przecież i Anglicy także są narodem karnym: jakaż jednak dzieli ich odległość od owej bestjalnej ślepoty, od owego samounicestwienia jednostki, od owej nieudolności do życia poza karbami przepisu, poza Vereinem. *Niemiec przychodzi na świat za zezwoleniem władzy, a umiera na jej rozkaz. Wewnątrz organizacji jest doskonałą maszyną, lecz z chwilą rozbicia organizacji staje się bezpożytecznym złomkiem. Ażeby mógł napowrót stać się człowiekiem, wymaga silnego wstrząśnienia. Wtenczas dopiero pocznie na nowo myśleć, patrzeć w siebie, zastanawiać się, czuć swe granice, słowem—być!*

ST. PIEKARSKI.

Samostarczalność — ekonomiczna Polski.

I.

„Z poza sentymentalizmu narodowego wobec matki Ojczyzny i frazeologji patrjotycznej, przeziera zawsze dziki, bezrozumny opór i egoizm stanowy“ [1])—temi słowami zasłużonego historyka niech nam wolno będzie rozpocząć. Słowa te, odnoszące się wprawdzie do jednej z odległych epok naszego życia narodowego, nie utraciły nic dotychczas ze swej aktualności. Kto wie nawet co nam więcej szkodziło — czy ten egoizm stanowy, o którym pisze autor, czy też ten „bezrozum“; ten niski stopień wykształcenia społeczno-politycznego, który pozwalał na krzewienie się u nas najdzikszych i najbezpodstawniejszych poglądów, hypnotyzujących swym dźwiękiem bezkrytyczne masy narodu szlacheckiego. Takim przesądem, przez wielu zupełnie szczerze wyznawanym, była przecież złota wolność wraz z liberum veto. Ten niski poziom umysłowy ogółu był powodem, że np. w 1627 r. województwo lubelskie podniosło na sejmie projekt rozwiązania kwestji monetarnej w Polsce zapomocą rozczulająco prostego środka, jakim być miało bicie monety miedzianej pozłacanej. Nic dziwnego, że Wielki Marszałek musiał przywoływać brać szlachecką do porządku następującymi słowami: „Pokazało się to wszystko bajki bałamutne i babie plotki, że aż się dziwować przychodzi, iż się nad niemi ludzie wielcy, senatorowie, sędziwi urzędnicy koronni zabawiają.“

„A nie brakło — jak pisze dalej cytowany autor — w Rzeczypospolitej nigdy jasnych i dużych głów, ale siły im łamały się i rozbijały o opór mas całych.“ Zacząwszy od proroczych, natchnionych słów Skargi, poprzez wywołany bolesnemi przeczuciami okrzyk Maksymiljana Porębskiego, starosty sieradzkiego: „Długo ta miła wolność nasza ostać się nie może, jeśli się na jakiejś niewoli nie włożymy“, poprzez projekty Giżyckiego „aby pobory co rok chodziły“, projekty wyprzedzające poglądy Bodina na zachodzie, aż do *Głosu Wolnego* Leszczyńskiego, w którym wyprzedza on zdobycze ekonomistów późniejszych, stawiając tezę, iż praca człowieka wolnego jest wydatniejszą od pracy niewolnika, ciągnie się długi szereg ludzi, jasno zdających sobie sprawę z przepaści, nad którą staliśmy. A później już jaką straszliwą niepopularnością zapłacił Lubecki za uratowanie finansowych podstaw bytu niezależnego Królestwa, albo jaką ruiną materjalną okupił Stanisław Szczepanowski swoją wiarę w możność ekonomicznego podniesienia Galicji. Człowiek ten, przed którym stała otworem świetna karjera w ministerjum kolonjalnym angielskim, według którego planów stworzona została sieć kolejowa, pokrywająca Indje, na schyłku swego życia stał się bankrutem śród własnego społeczeństwa, dla którego poświęcił życie swe i pracę.

Do takich przesądów bezrozumnych, głęboko zakorzenionych w masach naszej inteligiencji, nie wiele krytyczniejszej od dawnego „narodu“ szlacheckiego, należy pogląd, jakoby związek nasz z Rosją przynosił nam, jako społeczeństwu, niesłychane korzyści natury ekonomicznej. Zdawałoby się, że przedewszystkim kwestja tych właśnie korzyści ekonomicznych staje się w chwili obecnej niesłychanie aktualną. Tymczasem prasa nasza, uważając widać sprawę tych „korzyści“ za przesądzoną, dyskretnie omija ten drażliwy temat, śniąc widać o tym, że otrzymamy nie tylko jakąś możność bytu, zadowalającą nasze aspiracje narodowe, ale i możność w dalszym ciągu „wyzyskiwania“ ekonomicznego Rosji.

Wyznać musimy, że sama konieczność poruszania tej sprawy wydaje się nam wysoce bolesną. Sądzimy, że nie wolno jest wprost stawiać kwestji w ten sposób, jakby można było zastanawiać się i rozważać, czy i o ile byt nasz ekonomiczny i rozwój może iść własnemi drogami, czy też pozostać mamy i powinniśmy tylko dodatkiem do organizmu ekonomicznego rosyjskiego. Samo szerzenie się podobnych poglądów w społeczeństwie jest objawem takiego rozkładu moralnego, takiego obniżenia lotu naszych aspiracji, takiego podcinania w świadomości narodowej samych korzeni naszego bytu, że byłoby wprost nie do pomyślenia w zdrowym moralnie społeczeństwie. Skoro już jednak liczyć się musimy z poglądem tym jako z faktem, to niech nam będzie wolno rozważyć go już nie tylko ze stanowiska etycznego, ale i in merito.

Gdyby prasa nasza zwracała więcej uwagi na najbardziej zasadnicze i podstawowe zagadnienie naszego bytu narodowego, to nie przebrzmiałyby w niej bez echa cenne artykuły w tej sprawie pióra jednego z młodych i wybitnych naszych ekonomistów, p. Henryka Tenenbauma, który jeszcze w marcu r. b. wystąpił z artykułem p. t. „Rynki Wschodnie“ w № 1 *Strażnicy*, a następnie w szeregu artykułów w *Dzienniku Polskim* (№№ 276 i 300) oraz w *Widnokręgu* (№№ 46 i 47) rozwija w dalszym ciągu swą tezę, wprost przeciwną opinjom rozpowszechnionym w społeczeństwie; wykazuje, że, odwrotnie, brak możności prowadzenia włas-

[1]) Dr. Adam Szelągowski: «Próby reformy skarbowej w Polsce za Zygmunta III».

nej polityki celnej przynosi nam szkody, hamując rozwój gospodarczy, oraz że tylko pełnia możności prowadzenia własnej polityki ekonomicznej uratować nas może od nieuniknionego obniżania się materjalnego, a co za tym idzie i duchowego poziomu naszego bytu narodowego. Prace p. Tenenbauma, oparte na sumiennych paroletnich studjach poszczególnych gałęzi naszego przemysłu, dają masę cennego materjału, który może i powinien być wyzyskany przy wszelkich debatach o sprawie polskiej, tymbardziej, że przesąd, o którym mowa, cieszy się uznaniem nietylko w łonie naszego społeczeństwa, ale i pewne sfery rosyjskie uważają za niezbity aksiomat twierdzenie, jakoby nasza zależność od Rosji dawała nam ogromne korzyści ze szkodą interesów przemysłowych rdzennej Rosji. Świeżo przecież p. Kobylański oświadczył, że o samorządzie może być mowa tylko pod warunkiem jednoczesnego zaprowadzenia granicy celnej między nami i Rosją. Ta granica celna staje się straszakiem, mającym zmusić nasze społeczeństwo do zrezygnowania z wszelkich postulatów, wykraczających po za ramki koncepcji czysto biurokratycznego rozwiązania sprawy polskiej.

Poglądów, wyznawanych przez p. Henryka Tenenbauma broni również p. H. Radziszewski, który jeszcze w 1905 r. występował przeciwko hypnozie rynków wschodnich, opierając się nie tyle może co p. Tenenbaum na konkretnych faktach współczesnych z dziedziny naszego życia przemysłowego, ile raczej na źródłowych studjach swych z dziedziny historji ekonomicznej Królestwa Kongresowego i Banku Polskiego. Głos jego pozostał jednak odosobniony i nie znalazł oddźwięku w społeczeństwie.

D. c. n.

Młodzi Włosi nie powinni bić się
za Francję ani
za Niemcy ani
za Anglję ani
za Serbję ani
za Belgję
ale
za Włochy
ponieważ są Włochami.

Takie przykazanie polityczne świeci w nagłówku prasy włoskiej.

J. ROLICZ.

Lettres d'un tahïtien.

(Listy taityjskie).

I.

Mon cher ami!

Zdziwisz się zapewne mocno, otrzymawszy ten list. Jak wiesz, byłem ostatnio w Paryżu, jako jeden z delegatów naszego społeczćnstwa dla nawiązanie stosunków z postępowymi sferami społeczeństwa francuskiego i dla przedstawienia rządowi naszych postulatów. Nie potrzebuję chyba Ci mówić o tym, że wszystkie moje zabiegi były zupełnie bezskuteczne. Znasz dobrze Paryż, spędziliśmy w nim razem przecież całą naszą młodość, aby mieć pod tym względem jakiekolwiek złudzenia. Dla pewnych sfer naszego społeczeństwa ukazanie się na półkach księgarskich w Paryżu szeregu dzieł pod szumnymi tytułami j. np. Charles Dumas'a «Libérez les indigènes ou renoncez aux colonies» albo Tridon'a «Comment la France perdra ses colonies» było już powodem do upajania się różowemi nadziejami co do naszej najbliższej przyszłości. Zdajesz sobie prawdopodobnie sprawę z tego równie dobrze jak i ja, że są to fantasmagorje najczystszej wody. I nie dla tego, aby Francuzi mieli być specjalnie złym narodem, podobnym np. do Prusaków. Bynajmniej. Są oni tylko ignorantami poprostu w dziedzinie geografji i w dodatku cierpią na nieuleczalną megalomanję. Przy całej swej uprzejmości i układności z jaką jest się tu wszędzie przyjmowanym, odczuwać można zawsze, że stosunek Francuzów do cudzoziemców jest zawsze tym, czym był np. stosunek Greków do barbarzyńców. Megalomanja francuska kwitnie równie dobrze w bulwarowych organach, jak i na katedrach profesorskich. Pamiętasz tego profesora w «Ecole libre des sciences politiques et sociales», który, mówiąc o polityce kolonjalnej francuskiej, wspomniał mimochodem o polityce kolonjalnej «drobnych» narodków, jako to: Portugalczycy, Hiszpanie, Włosi etc.

Jeżeli 33-miljonowy naród jest dla francuskiego uczonego tylko «małym» narodkiem, to cóż za śmieszne pretensje możemy rościć do uwagi społeczeństwa i rządu francuskiego my, którzy na wszystkich wysepkach naszej «Królowej Pacyfiku» liczymy razem zaledwie 20,000 głów! Czy uwierzysz, że we francuskim ministerjum kolonji jeden z dygnitarzy zdziwił się mocno, że należymy do Francji zaledwie od kilkudziesięciu lat — on sądził, że bodaj jeszcze od czasów Magellana mamy szczęście rozwijać się pod opiekuńczymi skrzydłami Rzeczypospolitej. Inny znów wybitny parlamentarzysta francuski nie chciał mi wierzyć, że Tahiti wogóle należy do Francji, sądził bowiem, że Tahiti a Haiti w Indjach Za-

chodnich to jedno i to samo, wypytując mnie z całą naiwnością o francuskie patois, używane przez murzynów na starej Hispanioli. I na cóż się przydały wobec tego wszystkie mozolnie przez naszych polityków opracowywane memorjały o tym, jak wobec przekopania kanału Panamskiego zmieniła się nasza sytuacja. Jak można przekonywać ludzi o tym, że wyspy nasze nabierają ogromnego znaczenia politycznego, handlowego i strategicznego wobec tego, że stajemy się jedyną prawie stacją węglową na przestrzeni od Nowej Zelandji do Panamy i na drodze od San Francisko do Australji, skoro ci ludzie nie wiedzą prawie o naszym istnieniu.

Pozostaje jedyna tylko droga, a tą drogą jest jasne i męskie stawianie naszych żądań i informowanie o naszych sprawach prasy Stanów Zjednoczonych i Japonji, jako mocarstw mających rozległą sferę interesów na Pacyfiku. Episjer francuski jest wrażliwy na opinję zagranicy. Możeby wtedy zdecydował się dla ratowania pozorów wydelegować jaką komisję parlamentarną dla przejrzenia naszych ustaw kolonjalnych, pochodzących jeszcze z czasów II-go Cesarstwa. Ale, niestety, wiemy o tym dobrze, że po tej drodze nasze społeczeństwo nigdy nie pójdzie. Polityka serwilizmu tak głęboko przeżarła już naszą duszę narodową, że na cofanie się już zapóźno.

Po niepomyślnym rezultacie naszych zabiegów większość członków misji opuściła Paryż, udając się do... Monte-Carlo. Pojechał tam i ostatni potomek królowej Puamotu z całym swym orszakiem. Ja pozostałem jeszcze czas jakiś w Paryżu. Złożyłem kilka wizyt, nawiązałem parę stosunków towarzyskich z dawnych lat, włóczyłem się po bibljotekach no i oczywiście «last but not least» po kabaretach. Lubię tę ogromną, nieudaną radość życia i wesołość paryską. Sam jeden godzinami całymi mogę przebywać wśród rozbawionej publiczności, nie biorąc bezpośredniego udziału w jej wesołości, ale czując przy tym jak moja melancholja syna odległych mórz stopniowo łagodnieje i roztapia się, jak piana morska na brzegu topnieje pod promieniami słońca.

Pewnego wieczoru, przechodząc późnym wieczorem koło jakiegoś «cabaret artistique» usłyszałem jakąś piosenkę przez drzwi nawpół uchylone. Zaszedłem do wnętrza i wyobraź sobie co usłyszałem. Jakiś jegomość na estradzie śpiewał, a sala podchwytywała refren:

Vaut-il de la peine
Vaut-il de la peine
Vaut-il de la peine, assurement
Pour les indigènes, pour les indigènes
de changer le gouvernement.

Twarz moją oblały gorące rumieńce. Zdawało mi się, że jest to odpowiedź na moje własne myśli. Czy warto zmieniać politykę w stosunku do nas, skoro obecna przecież doprowadziła już do tak pozytywnych wyników, że całe nasze społeczeństwo zatraciło już zupełnie wszelkie tradycje i dążenia, wykraczające po za zakres mizernych jakichś ochłapów, rzucanych nam z pańskiego stołu. «Pańska łaska na pstrym koniu jeździ», przypomniały mi się słowa tego malarza Polaka, który bawił się kiedyś uczeniem nas przysłów w swym rodowitym języku, pękając ze śmiechu z naszych usiłowań wyłamywania sobie języka, żeby powtarzać te barbarzyńskie, północne dźwięki, tak obce nam, ludziom słonecznego południa, tak obce naszym pieszczonym, miękkim dźwiękom mowy ojczystej.

To mnie zdecydowało. Powróciłem do hotelu, uregulowałem rachunek i poleciwszy służbie obudzić mnie wczesnym rankiem, rzuciłem się na otomanę. Sen długo nie przychodził. Przesuwały się przed mymi zmęczonymi oczyma obrazy wybrzeży morskich, porosłych kołyszącymi się od wiatru morskiego palmami, niskie chaty, atolle koralowe, sinawe góry na widnokręgu... majaczyły mi się strzępy piosenek ludowych, słyszanych kiedyś w dzieciństwie od mej piastunki na Bora-Bora w domu rodzinnym. Zacząłem machinalnie powtarzać te wiersze F. de Joncquière:

«J'aime, o Tahiti, ton eternel silence
Et du vent de la mer le murmur plaintif...»

albo to zakończenie:

«Et les mauves reflets dont Moorea se teint
Et semble rallumer les colères antiques
De ses vieux cratères eteints.»

Wygasły już u nas kratery, stary przyjacielu! Lawa wystyga już w głębi, nie tylko po wierzchu, wbrew twierdzeniu, że «wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi». I czy nie przychodzi Ci nigdy na myśl, że może jesteśmy już ostatnimi z Mohikanów, śmiesznymi Don Kiszotami, walczącymi o ideały bez żadnego poparcia w łonie własnego społeczeństwa? Wiesz przecież o tym, że wywóz kopry i pomarańcz do Francji, plantacje tytuniowe i kawowe więcej interesują naszych współziomków, niż losy naszej pięknej wyspy. Przecież mamy już całą szkołę polityków, dowodzących, że Francja jest nam nieodbicie potrzebna dla naszego rozwoju ekonomicznego, ze względu na rynek zbytu, jaki dla nas przedstawia.

Vale!

Kto wniesie niezwłocznie przedpłatę za kwartał pierwszy roku 1915, będzie otrzymywał *PRAWDĘ* w przeciągu Grudnia roku bieżącego darmo.

Pożytek z wojny? Oto jeden — niezawodny: wszyscy rwą się do gazet. Dzienniki w miastach zdwajają liczbę nakładu i potrajają częstokroć liczbę wydań. Z powodu niebezpieczeństw wojennych czasopisma docierają nie wszędzie, ale każdy stara się zewsząd dotrzeć do czasopism. Prasa zalewa wsi, króluje w miasteczkach. Analfabeci czują osaczający ich krąg ciemnoty i upośledzenia. Ich dzieci chodzić będą napewno do szkoły. Tymczasem zaś czują wszyscy, że świat dokoła nich drży coraz szerzej. Narody mieszają się społem ze sobą, niby w kipiącym kotle. Najdalsze, najbardziej obce sobie punkty biorą udział we wspólnej wielkiej tragiedji. Raciąż śledzi losy armji indyjskiej, Chorzele interesują się postawą Egiptu, Australji, Syrji i Japonji. Warszawianin, nie opuszczając kawiarni, dowiaduje się, że ojczyzna Turków zowie się Anatolja i — leży w Azji Mniejszej. Budzi się i rozrasta w człowieku świadomość kosmiczna. Historja ludzkości mocniej osadza się na swym trzonie. Najskromniejszy obywatel zmuszony się widzi wzrok skierować poza krańce swej parafji. Dla najpłytszych oczu życie nabiera głębi i zagadkowości. Każdy czuje coraz bardziej, że przed życiem uciec niepodobna. Że dzieje się coś, przed czym już nawet „polska wieś zaciszna“ nie daje osłony. Że nadciąga burza, łamiąca najczcigodniejsze rękojmie gnuśności, najkosztowniejsze parawany sobkostwa. W przerażającym świetle każdy postrzega, że niewola niezawsze rabów przykuwa do żywnego żłobu; że na swym łańcuchu powlec może bezwolną rzeszę na sromotną śmierć lub hańbiącą mękę. Niema dziś na świecie Arkadji, w której najspokojniejszy obywatel mógłby spokojnie przeczekać niebezpieczeństwo. Niema zakątka, w którymby dało się opowiedzieć wesołą anegdotę. Niema ogrodu, niema samotności, niema Riwiery, którąby dała chwilę słońca i pogody. Wszyscy musimy czasowi dań swoją zapłacić. Owo wstrząśnienie olbrzymie, prądami dreszczu idące od lądu ku lądowi, od mórz ku morzom, owo drżenie, fale uczuć nieznanych wzdymające na oceanie piersi ludzkich, zamienia w oczach naszych kulę ziemską na żywe ognisko świadomości, w którym żywioły najsprzeczniejsze stapiają się w jednym akordzie uniesienia. Historja powszechna, historja święta, idąc drogą rozwoju, zmierza ku jedności coraz rozleglejszej i woła o Bossuet'a nowego i większego, o Biblję nową i potężniejszą, o Ewangielię nową i czystszą.

Przegląd prasy.

* Dawanie przeglądu prasy w chwili obecnej jest smutnym obowiązkiem. Jeżeli prasa naogół w warunkach normalnych odznaczała się jałowością i oderwaniem od potrzeb życia, to czegoż spodziewać się można teraz, skoro z jednej strony przerwano dowóz prasy berlińskiej, z drugiej zaś wyjątkowa chwila obecna zaskoczyła publicystów kurjerkowych. Prasa codzienna poszła po linji najmniejszego oporu, schlebiając tanim namiętnościom tłumu, głodnego sensacji wojennych i zalewała naszą stolicę stosami bibuły, w której obok rozszalałych orgji nienawiści, przysłaniającej zupełnie tragizm epoki, obok bezmyślnego i bezkrytycznego uwielbiania, napróżno doszukiwać by się można śmielszych lub wyraźniejszych głosow, mówiących jasno i wyraźnie o naszym postulacie. Parę zaledwie pism nie dało się porwać prądowi. Tak np. *Goniec* i *Dziennik Polski* zachowywały rezerwę, bardziej licującą z godnością narodową, niż płaski ferwor. Rozumiemy dobrze, że przekonania polityczne mogą i powinny być różne. Między „orjentacjami“ jednak, traktowanymi jako postulaty realnej polityki, a dorabianiem do tych orjentacji odpowiednich ideologji i zatracaniem różnicy między tym co jest etycznie dopuszczalne albo nie, leży przepaść. Przepaść tę z lekkim sercem przebyła większość naszych organów, aby handel szedł!

Obok „zawodowych“ publicystów, obowiązanych do pisania pewnej liczby wierszy wszystko jedno o czym, wielu skądinąd bardzo godnych ludzi poczuło w sobie świeży zapał do rozwiązywania problematów polityki narodowej, chociażby zajmowali się przedtem, zresztą z powodzeniem, np. satyrą albo dramatem. P. Nowaczyński napisał kiedyś, że gdyby grafomanja była karana na równi z podpaleniem, kradzieżą i zgwałceniem, to byłyby historje literatur o 10 tomów cieńsze. Szkoda, że ten piękny projekt nie został urzeczywistniony, bo w takim razie pewien literat tworzyłby teraz w ciszy celi więziennej satyry, pokutując za swe grafomańskie popisy o Irlandji. Pan ten, chwaląc irlandczyków za to, że zrzekli się „ad feliciora tempora szczerze i bez żadnych jezuickich restrykcji mentalnych ideału maksymalnej, bezwzględnej wolności, t. j. państwowej niepodległości“ i stawiają nam autonomję irlandzką jako wzór, zapomniał przytym o wielu rzeczach. Zapomniał przedewszystkim zapoznać się z samym projektem Home Rule'u, bo gdyby to uczynił, to przekonałby się, że jest to bardzo ograniczony samorząd, który jeżeli ma ogromną wartość, to nie dzięki swej treści, lecz dzięki temu, że Irlandja ma do czynienia z najbardziej kulturalnym narodem pod słońcem, któremu z pewnością nie przyjdzie do głowy szykanować i utrudniać korzystania z samorządu ścisłym stosowaniem się do litery prawa.

* Prasa rosyjska, obok ogólnikowych dla nas sympatji, zaczyna martwić się o Żydów u nas, czy aby nie zatrujemy im życia, w razie zmiany warunków politycznych i czy aby Komitet Obywatelski nie skrzywdzi ich przy podziale darów. W sprawie tej ukazał się list otwarty p. Życkiego do p. Lednickiego, słusznie

zwracający uwagę, że zniesienie granicy osiedlenia byłoby najbardziej prostym sposobem rozwiązania sprawy żydowskiej. W tej samej sprawie zabrał głos p. Baranowski w *Kraju* (dawne *Słowo).* Pozwolimy sobie zacytować ostatnie ustępy:

„Rozumowania różnych polityków rosyjskich nie mogą nam trafić do mózgów. Nie dlatego—powtarzam—byśmy np. wszyscy niechętnie usposobieni byli do Żydów, nawet do tych, rozwodzących dziś na nas gdzie się uda bezpodstawne skargi — ale dlatego, iż gdy po wielu krzywdach chce się narodowi jakiemuś to, co jego—przyznać, nie można przedewszystkiem zbyt głośno mówić o tem, iż ma mu się ręce splątać tak, aby sam krzywdzić już nie mógł nigdy nikogo. Takie stawianie sprawy musi drażnić, a jednocześnie nie przynosi nikomu pożytku. Należy coś zostawić własnej domyślności Polaków i dość starej ich politycznej kulturze. Zaś przedewszystkim myśląc o sprawach Polski, myśleć trzeba o niej jako o pewnej moralnej i politycznej całości, nie rozdrabniając z góry całości tej na okruchy, z których potem coś zlepić będzie o wiele trudniej.“

* W *Dzienniku Polskim* ukazało się kilka trafnych artykułów o międzynarodowym znaczeniu sprawy polskiej. Ostatnio p. Straszewicz w Nr. 332 pisze co następuje:

„Z wielkim niepokojem widzimy, że w imieniu polskiem przemawiają maklerzy, poeci-mistycy i t. p. ludzie najlepszych może chęci, ale zupełnie do tego rodzaju pracy niepowołani. Przy tym stanie rzeczy grozi nam poważne niebezpieczeństwo, że Rosja nie tylko nie pozna należycie ani uczuć naszych, ani zamiarów, ale jeszcze pogłębione zostanie nieporozumienie, jakie tak często spostrzegamy między tymi narodami. ...Nie bierzmy ani naszej ani cudzej serdeczności za załatwienie sprawy.

Nie śpiewajmy hymnów tryumfalnych, bo nie na nie teraz czas.“

Szczere i jasne przemówienie do społeczeństwa rosyjskiego, to pilna potrzeba narodowa.

* Gazeta petrogradzka *Dzień,* w sprawozdaniu z posiedzenia działaczów społecznych, poświęconego sprawie stosunków polsko-rosyjskich, pisze:

„Następny mówca, p. Karpiński, w swem przemówieniu nazwał prowokatorami ludzi, agitujących za sprawą Polski niepodległej. — Ci ludzie umyślnie szerzą tak bezmyślne idee, aby, pod pozorem złudnych obietnic, zaprzepaścić całkowicie sprawę polskiej wolności. Ale my, zapewnił p. Karpiński, nie chcemy samodzielności. Nam nie potrzeba Polski niepodległej. Chcemy urzeczywistnienia obietnic Wodza Naczelnego.“

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

Redaktor i Wydawca: **Wincenty Rzymowski.** Sekretarz Redakcji: **Stefan Piekarski.**
Druk L. Bogusławskiego, S-tokrzyska 11. Дозволено Военною Цензурою, Варшава, 22 Ноября 1914 г.